

Wędrowanie sierpniowe

Ciężkie, leniwe, sierpniowe popołudnie wisiało nisko nad wioską. Przeszłam przez sad, w którym jabłonie powoli zaczynały uginać się do ziemi pod ciężarem spokojnie, systematycznie dojrzewających jabłek. Rzuciłam okiem na leszczynę, zaczynającą już gubić pierwsze, żółte liście. Minęłam smutną, bo już doszczętnie objedzoną z owoców czereśnię... i wyszłam w przestrzeń.

Przestrzeń - czyli pola rozpościerające się za sadem aż po horyzont, teraz już skoszone, upstrzone belami sprasowanej słomy. Przestrzeń, od zachodu ograniczoną szczytami Gór Opawskich, wydającymi się być niemalże na wyciągnięcie ręki, zaś od północy Kapeluszną Górą, na której - niczym zamek księżniczki z bajki - przysiadł biały kościółek Przemienienia Pańskiego w Rusinie. Bliski, bo na stałe wkomponowany w krajobraz, od kiedy pamiętam - ale nie nasz, nie polski, lecz czeski.



Fot. Robert Sołdyński

Tylko na wschód nie lubiłam patrzeć. Tam majaczyły zabudowania wioski, a dalej - miasta, ślady cywilizacji i postępu.

Ruszyłam przed siebie wąską, polną drogą, wijącą się wśród pól. Trawy już żółkły, kołysane wiatrem, a tu i ówdzie zaczynały się czerwienić dzikie róże i głogi - nieomylnie zwiastuny mającej nadejść jesieni. Przydrożne kępy wrotyczu cieszyły oko intensywną żółcią, a przy różowych, łąkowych chabrach i ostach uwijały się małe trzmiele. Gdzieś intensywną czerwienią zaznaczał się krwiściąg. Pola parowały, oddychały głęboko po ciężkim trudzie żniw. Góry były jakby bliżej niż zwykle i wystawiały grzbiety do słońca.

Pylista, sucha droga wprowadziła mnie między owocujące już tarniny. Rozglądałam się uważnie, i udało się - odnalazłam niedużą kępę werbeny lekarskiej, czyli witułki, która rosła tu od jakiegoś czasu. Z zachwytem pochyliłam się nad nią, przyglądając się maleńkim, nieśmiałym, różowym kwiatom.

Słońce delikatnie przeświecało przez splątane gałęzie tarniny, gdy ruszyłam w dalszą drogę. Po drodze kusily dzikie grusze i jabłonie, ciężkie od owoców.

W pewnym momencie droga po prostu znikła, wtulona w gęste krzewy dzikich malin i jeżyn. Pozostało iść ścierniskiem, wystawiając obute w sandały stopy na pastwę ostrych łądyg skoszonej pszenicy - nieco bliższy kontakt z naturą.

Obserwowałam cały krajobraz dookoła. Zbiegające po pagórkach pola, przecięte tu i ówdzie wąskimi rzeczulkami, szczyty w oddali, wszystko to skąpane w słońcu i owiewane ciepłym wiatrem - zamyślając się nierzadko. Po lewej stronie miałam przez cały czas zarośla, teraz przechodzące już w nadrzeczne szuwały, z różowymi plamami krwawnicy, a nieco bliżej - żółtymi lnicami. Z prawej zaś - ścierniska, aż do widniejących daleko wież głubczyckiego kościoła.

Z zamyślenia wyrwały mnie sarny, spłoszone moim nieostrożnym stąpieniem. Przebiegły tuż przede mną, nie mniej osłupiałe niż ja sama. W pewnym oddaleniu zatrzymały się na chwilę i dokładnie zlustrowały mnie wzrokiem, nieco zdziwionym. I ja miałam okazję, by im się lepiej przyjrzeć, popatrzeć w ich piękne oczy, a wreszcie, podziwiać ich zwinny bieg przez pola.

Nagle spod nóg prysnęła mi zdenerwowana kuropatwa, z krzykiem pełnym oburzenia. Jak zwykle, zapatrzona w rośliny, świat zwierząt dostrzegałam dopiero wówczas, gdy wyraźnie zmanifestował swoją obecność.

Flora odwdzięczała się jednak, wprost rzucając mi w oczy to, co miała najpiękniejszego. Na słonecznym wzgórzu, nieco dalej, odnalazłam jedną, jedyną centurię, spoglądającą na mnie szeroko otwartymi, liliowymi oczami.

Słońce schodziło coraz niżej, z daleka dały się słyszeć dzwony wzywające na codzienną mszę. Trzeba mi było wracać, zostawiając za sobą nagrzane pola, żółte ścierniska i kolorowe od kwiatów zarośla.

Agata Borzęcka